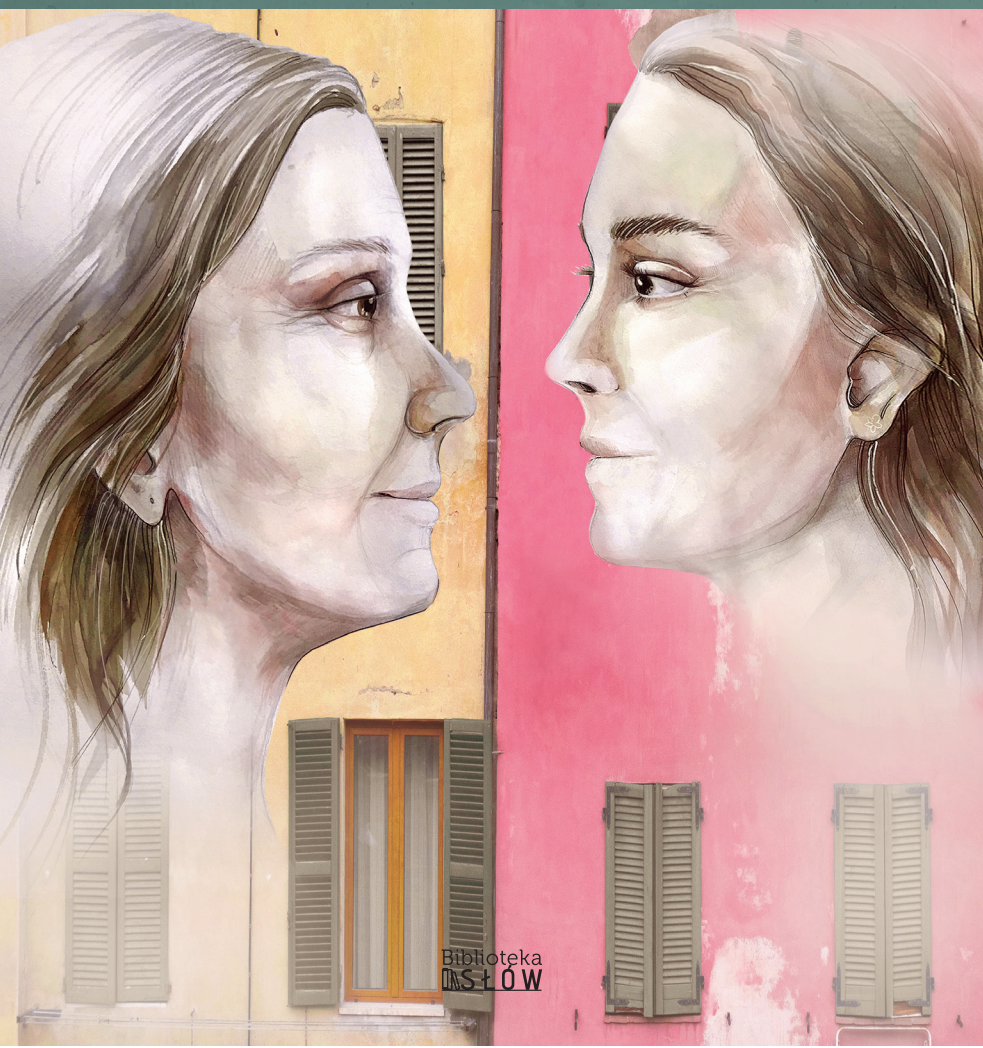


Lidija Dimkovska

NON-OUI

Przetłóżyła Danuta Cirlić-Straszyńska



Babciu Non-Oui, proste jest, kiedy wiesz, co i kogo kochasz. A ty wiedziałaś: Carlo, i tyle! Chociaż los rozdzielił was na ponad rok, to było to: Carlo, i już. Dla niego tak samo: Nedjelka, i już. A nie wiesz nawet, jak żył w Castellammare del Golfo, co robił przez cały ten rok. Telegramy nic nie mówiły o jego życiu codziennym. (...) Żył sam w rodzinnym domu, czy miał dziewczyny, i co właściwie robił? Czy nie spotykał się z tą Angelą z mafijnej rodziny? A poza tym – z czego będziecie żyli, gdy przeniesiesz się do niego? Jego ojciec miał warsztat szewski i najprościej byłoby, gdyby Carlo chociaż ukończył studia, zaczął pracować w tym warsztacie. A może zamknął go po śmierci ojca?

Ile pytań bez odpowiedzi! Ale dla ciebie nic nie było ważne – tylko to, że w kwietniu pobieracie się na Sycylii. (...)

Więc powiedziałaś sobie: suknię ślubną uszyję sama, a tam będę mogła szyć dla klientek. W domu jest może maszyna do szycia, a jak nie ma, to ją kupimy, oszczędziłam przecież trochę grosza. Włoskiego zacznę uczyć się od zaraz. Na Sylwestra, ku zdziwieniu koleżanek, a także mamy, nie poszłaś na Riwę, ale pod kołdrą, którą przykrywał się Carlo, powtarzałaś słówka: *amore, amore mio, grazie, a rivederci, non capisco*.

Lidija Dimkovska

NON–OUI

Przetłóżyła Danuta Ćirlić-Straszyńska

Tytuł oryginału: HO-YH

©Lidija Dimkovska, Skopje 2016

© Danuta Cirlić-Straszyńska, 2019

©Biblioteka Analiz, 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci bez zgody wydawcy jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Redakcja: Ewa Tenderenda-Ożóg

Ilustracja na okładce: Daryna Antonenko

Zdjęcie na okładce: Davide Cantelli

Projekt okładki: TYPO 2 Jolanta Ugorowska

Opracowanie graficzne i skład: TYPO 2 Jolanta Ugorowska

Warszawa, 2019

Wydanie I

ISBN 978-83-952611-1-4

Wydawca:

Biblioteka Analiz Sp. z o.o.

ul. Mazowiecka 6/8

00-048 Warszawa

Tel. 22 828 36 31

www.rynek-ksiazki.pl

Facebook.com/bibliotekaanaliz

Facebook.com/WydawnictwoBibliotekaSlow

*Istniejesz wtedy,
kiedy ktoś myśli o tobie*

Fernando León de Aranoa
Księżniczki

Wszystkie postacie i wydarzenia są fikcyjne,
z wyjątkiem tych historycznych

✍ 20 CZERWCA 2016, CASTELLAMMARE del Golfo

Babciu Nedjelko, dziś tato opowiedział mi, że kiedy wracał minibusem ze Scopello, wsiadła grupa turystów, którzy mówili jakimś słowiańskim językiem. Kilkoro kobiet i mężczyzn z pięciorgiem czy sześciorgiem dzieci. Tato spytał, jakim językiem mówią, a oni odpowiedzieli: po słoweńsku. Przyjechali do Castellammare na tydzień i są zachwyceni Scopello. Pamiętasz, my też kiedyś tam byliśmy, tylko raz, naszym samochodem, zanim tato zaczął prowadzić minibusy firmy Ruso. Prawda, że to dziwne – ci, którzy przyjeżdżają na Sycylię jako turyści, obowiązkowo zwiedzają Scopello, a my, tutejsi, jedziemy tam raz w życiu. Tato, na przykład, prowadzi minibusy, ale sam nigdy tam nie był.

Niedawno „La Repubblica” ogłosiła ciekawą statystykę, z której wynika, że mieszkańcy jakiegoś miasta czy nawet całego kraju rzadko udają się do muzeum, najwyżej ze szkołą, i że w gruncie rzeczy po to właśnie idzie się tam ze szkołą, aby mieszkańcy jakiegoś miasta czy kraju poznawali jego zabytki przynajmniej wtedy, gdy jeszcze chodzą do szkoły, bo gdy skończą naukę, nawet do głowy im nie przyjdzie wejść do muzeum, które mijają, spiesząc się do codziennych zajęć. Dziennikarz,

który opracował odpowiednią ankietę, podał kilka przykładów, jak choćby urodzonej we Florencji pewnej pięćdziesięciolatki, która od dwudziestu pięciu lat pracuje w kancelarii adwokackiej tuż koło katedry Santa Maria del Fiore i choć codziennie przechodzi obok niej, idąc do pracy i wracając, a w ostatnich latach zatrzymuje się na papierosa dosłownie naprzeciwko, nigdy nie weszła do wnętrza. Nawet gdy miała taki zamiar, zawsze przed drzwiami było mnóstwo turystów, więc mówiła sobie „następnym razem”, i tak do dziś. Dziennikarz opisywał podobne sytuacje w Paryżu, Londynie, Madrycie i mniejszych zabytkowych miastach – wszędzie było podobnie.

Przypomniało mi się to, bo tato powiedział, że turyści ze Słowenii nie tylko pojechali do Scopello zaraz nazajutrz po przybyciu do Castellammare del Golfo, ale miasteczko tak im się spodobało, że wczoraj, przed wyjazdem, wybrali się tam jeszcze raz, przez Centrum Nurkowe, aby badać skały wystające z wody, dzięki którym nawet u siebie, w Słowenii, wiedzą o Scopello. W ciągu tygodnia dwa razy tam byli! Tato akurat zamienił się na kurs z kolegą, kiedy Słowenicy za drugim razem stamtąd wracali, niezmiennie zachwyceni architekturą, a jeszcze bardziej widokiem na morze i skały. Wyobraź sobie, babciu, powiedział im, że rozumie niektóre słowa w ich angielsko-chorwackim, bo ty, jego mama, pochodziłaś ze Splitu, ze Spalato. Słowenicy uśmiechali się, zaskoczeni, i powtarzali: Split, no tak, Split, Chorwacja, Jugosławia, a tato, wioząc ich do Castellammare, mieszając włoski z angielskim i wtrącając

czasem jakieś chorwackie słowo, opowiedział im o tobie i o nas, nawet o mnie. Że ja też mam na imię Nedjeljka, tak jak ty, babciu, i jedyna z całej rodziny znam chorwacki. A oni pytali, jak się wymawia moje imię na Sycylii, i tato powiedział: „Wszyscy nazywamy ją Nedą, tak samo jak nazywaliśmy babcię, ale w dokumentach stoi: Nedjeljka”. Zrozumieli, że przyjechałaś do dziadka do Castellammare w 1947 roku, miastem wtedy rządziła mafia. Żeby im to przedstawić obrazowo, tato kilka razy powtórzył: „Bum, bum, bum!”. „A jak jest teraz?”, zapytał jeden ze Słoweńców. „Teraz żyje się dobrze, spokojnie”, powiedział tato, „nie ma już mafii”. I wrócił do ciebie, że było ci tu ciężko jako cudzoziemce i że do Splitu pojechałaś tylko dwa razy, a za trzecim razem bilet na samolot został w szufladzie z powodu śmierci dziadka. Nawet to im powiedział. Mówił szybko, żeby zdążyć, bo widział, że ci ludzie rozumieją, kiwają głowami, a jedna z kobiet nawet ostrożnie podeszła do niego, żeby dobrze wszystko słyszeć. „Jak ona słuchała”, powiedział tato, „pewnie była to dziennikarka, może nawet coś o tym napisze. Po prostu łykała moje słowa, czegoś takiego jeszcze nie widziałem”. Zostawił ich nie na przystanku, ale przy rynku, bo chcieli kupić sobie owoców, a na pożegnanie wszyscy ściskali mu rękę. Skręcając, raz się za nimi obejrzał, i tyle.

Szkoda, że wyjechali, i są już pewnie w domu, w Lublanie. Wydaje mi się, że któregoś dnia widziałam taką grupę dorosłych i dzieci na tarasie kawiarni „Rio Bar”. Dzieci biegały z niebieskimi balonami, które chciał im porwać wiatr, krążyły w kółko ze śmiechem. W kawiarni

grała muzyka i niestety nie słyszałam, w jakim języku do siebie wołają. Szkoda. Tak bardzo bym chciała spotkać ludzi z twojego kraju, babciu, a kiedy zjawia się tu ktoś, kto rozumie twój język – którego, chwała Bogu, nauczyłam się od ciebie – to jakby nie było dane mi go spotkać.

Wszystko to opowiadam, siedząc nad jej grobem. Wiem, że słucha uważnie i czeka, kiedy będzie mogła odezwać się do mnie. Tak rozmawiamy co dzień, ja – albo w milczeniu, albo na głos, jeżeli oczywiście jestem pewna, że w domu nie ma nikogo, kto mógłby niespodziewanie wejść do ogrodu, a babcia Nedjelka – nie wiadomo jak, ale ją słyszę, jej głos brzmi tak samo jak wtedy, gdy była żywa i zdrowa. Albo mówi o tym czy owym, albo milczy całymi godzinami. A dawniej nikt nie chciał słuchać tych samych opowieści po sto razy, tylko ja, a także i tato, ale gdy wracał z pracy zmęczony, po prostu wołał się zdrzemnąć niż słuchać, co babcia opowiada o wojnie, o Splicie i o Sycylii. Margherita już od małego uruchomiła w sobie jakiś mechanizm obronny przed tymi opowieściami – gdy babcia zaczynała swoje, ona zatykała uszy, zamykała oczy i głośno syczała przez zęby: szszsz... Nie wiem, co bardziej denerwowało mamę – syczenie Margherity czy opowieści babci, ale wychodząc z pokoju, nie omieszkła jak zwykle mruknąć swojego: „Na złość!”

Tak więc babcia tylko mnie mogła opowiadać, co działo się przed wojną, w czasie wojny i po wojnie.

Z początku po włosku, ale po śmierci dziadka zaczęła mnie uczyć chorwackiego, a gdy minęło pół roku, powiedziała: „Dziś ostatni raz mówię z tobą po włosku, już wystarczająco znasz mój język, żeby był także twoim”. I mówiła, a ja, zaciekawiona, łykałam nowe słowa, bardziej dla mnie śmieszne niż trudne. Po powrocie ze szkoły zawsze tylko słuchałam opowiadań babci Nedjelki. A w miarę, jak coraz lepiej rozumiałam, co mówi, stawała mi się coraz bliższa i coraz mniej wstydziłam się imienia Nedjelka. Dlatego szczęśliwa jestem, że pochowaliśmy ją tutaj, tuż za domem. Tak, jak sobie życzyła, gdy była jeszcze zdrowa i przytomna. „Żebyście mnie tylko nie pochowali na cmentarzu!”, mówiła. „Nie mam zamiaru jeszcze i po śmierci być wśród cudzoziemców. Poza tym możecie mnie pochować gdziekolwiek”. Pewnego razu tato nawet zapytał: „A z ojcem nie chcesz?”. Mama zakrztusiła się ze śmiechu i wyszła wtedy z pokoju, powtarzając swoje: „Na złość!”. „Z Carlem już się nie rozumiemy”, odpowiedziała babcia, „on milczy, a ja mówię”. Kiedyś szepnęła mi: „On mówi jednym, a ja drugim językiem”.

Kiedy umarła, tato powiedział stanowczo, że absolutnie nie pochowamy jej na cmentarzu. „Albo zawieziemy babcię do Splitu, albo tu, w domu, wyprawimy jej pogrzeb”. A mama zwróciła się do mnie: „Rozpytaj się gdzieś, ile może kosztować przewiezienie ciała do Splitu”. „Gdzie mam się rozpytać?”. „Nie wiem. W Splitcie... albo zadzwoń do ambasady Chorwacji w Rzymie, przecież znasz chorwacki, babcia nie uczyła cię na darmo”. W jej głosie brzmiała nutka ironii, ale oczy miała

zaczerwienione, więc jej wybaczyłam. Gdy dowiedzieliśmy się, że taki pogrzeb pochłonałby trzy pensje taty jako kierowcy minibusa, mama oświadczyła: „Nedjelka nie chciałaby leżeć w Splicie. Kto by tam przyszedł na grób? Jej brat, całymi latami wrogo nastawiony z powodu skręconego palca? Jego córka, która nigdy się do niej nie odezwała?”. I jakoś tak, w gruncie rzeczy to mama skłoniła nas, żeby pochować babcię tu, pod drzewem pomarańczowym. W tym samym miejscu, gdzie wcześniej wisiała huśtawka, którą dziadek sporządził ze sznura dla mojego taty i stryjków, kiedy byli mali, a wiele lat później tato zawiesił tu prawdziwą drewnianą huśtawkę dla mnie i dla Margherity. Babcia nigdy nas nie huśtała, był to niepisany obowiązek dziadka, ale wracając ze szkoły, nierzadko zastawałyśmy ją siedzącą na huśtawce, bez trzymania, niby obraz skamieniałej kobiety, chociaż nie wiem, czy ktoś kiedyś stworzył taki obraz albo rzeźbę.

I teraz, babciu, gdy jesteś na tamtym świecie, masz wszystko, co należało do życia, nawet nasze drzewo, najmilsze drzewo pomarańczowe, które przez cały rok upiększa nasze podwórze. Może odzyskasz tu pamięć? Może powrócą wspomnienia o tym wszystkim, o czym tato naprędce opowiedział turystom ze Słowenii? Może teraz przypomnisz sobie, gdzie się urodziłaś i gdzie mieszkałaś, zanim przeniosłaś się tutaj? Pamiętasz Split? Wojnę? Twoją mamę i tatę? Brata? Nas? Mnie, twoją imienniczkę?

☞ 7 CZERWCA 2009, CASTELLAMMARE del Golfo

Babcia Nedjelka pamiętała wszystko, nawet codzienne zdarzenia. Tak było do czerwca 2009 roku. Dokładnie do siódmego czerwca, czyli do moich dwudziestych pierwszych urodzin, była zwyczajną matką, babcią i teściową. Starą, ale normalną. I bardzo żywą. Babcia i jej brat odziedziczyli chyba geny po matce i mogli dożyć dziewięćdziesiątki. Co do mnie, to tego dnia stałam się, nawet „po amerykańsku”, pełnoletnia. Drzewo kwitło, a pod nim, przy drewnianym stole, siedzieliśmy wszyscy: babcia, mama, tato, ja, Margherita i jej chłopak, żeby nie powiedzieć mąż, Pietro. Starszy od niej o całe dwadzieścia lat. Ona – osiemnaście, on – trzydzieści osiem. Miły i otwarty, ale bardzo stary. „Gdzie takiego znalazła!”, mówiła babcia zawsze, gdy od nas wychodził. „Magi – dziecko, a on – starzec!”. I oczywiście zwracała się do taty: „Szukaj dla niej jakiegoś rozwiązania! Dziewczyna i starzec – to niemożliwe!”. Dla niego było to bardziej nieprzyjemne niż dla Margherity, która zawołała ze śmiechem: „Młody jest! Młody!”. A tato kiedyś powiedział o nim: „Nie tylko stary, ale do niczego”. Była to może aluzja do mnie, która w wieku dwudziestu jeden lat nie przyprowadziłam jeszcze chłopaka.

Margherita tego dnia żartowała sobie: „Teraz, kiedy Neda *e forever young*, nawet nie potrzebuje męża”. „Która Neda?”, spytała wtedy babcia, a wszyscy się roześmiali. „Ty”, powiedziałam żartem, chociaż inni wołali na głos: „No, Neda! Neda, nie ty, ty masz osiemdziesiąt sześć lat, a Neda dwadzieścia jeden. Ty poza tym jesteś

Nedjelka, babcia Non-Oui”. Na to, pamiętam, babcia zaczęła głośno krzyczeć: „Ja mam dwadzieścia jeden lat, jestem Neda i dziś są moje urodziny!”. „Posłuchaj, babciu”, starałam się ją uspokoić, ale krzyknęła do mnie: „Babciu? Jaka babciu?! Ja jestem młoda, mam dwadzieścia jeden lat, moja mama sprzedaje na targu, a tato jest rybakiem, mieszkamy w Splicie!”. „Dobrze, mam, już dobrze”, odezwał się tato, a babcia skoczyła na niego: „Mamo? Jaka mamo! Jestem panienką i nie mam męża. Na mnie czeka Carlo na Rivie!”.

Jakie dziwne były te moje urodziny! Najpierw myśleliśmy, że babcia żartuje i sami zaczęliśmy żartować, ale ona się nie poddawała, zapewniając, że jest Nedą, solenizantką. Widząc, że nas nie przekona, zaczęła na cały głos krzyczeć, wymyślać nam od kłamców, złodziei i wreszcie od faszystów. Pozbieraliśmy talerze i jedzenie ze stołu i jakoś wepchnęliśmy babcię do domu. „Splicki tort”, który przygotowała wczoraj, kręcąc się cały dzień po kuchni, z zatłuszczonym przepisem przed oczami, został w niewielkiej lodówce, ustawionej w ogrodzie przez tatę parę lat temu. Nikt sobie o tym torcie nie przypomniał, nawet po kilku dniach. Nikt się zresztą nie rozglądał. Weszliśmy do domu, zamknęliśmy drzwi i każdy zniknął w swoim pokoju. Babcia także, wciąż powtarzając: „Fa-szyś-ci! Fa-szyś-ci!”.

Dlaczego, babciu, nazwałaś nas wtedy faszystami? I powtarzałaś to słowo aż do śmierci, całych sześć miesięcy? Dlaczego wychodziło ono z twoich ust po sto razy dziennie? Czasem było to w ogóle jedyne słowo,

które wymawiałaś. Co się stało tamtego dnia? Wybuch niespodziewanej nienawiści do nas wszystkich czy wybuch choroby? Doktor Rinaldo stwierdził, że był to typowy objaw choroby Alzheimera, który nie miał związku z konkretnymi przyczynami. Że po prostu jesteś chora. Stara i chora. Prawdopodobnie już od dawna, ale tego dnia choroba ukazała swoje najprawdziwsze oblicze. „Dotychczas mieli państwo szczęście”, powiedział doktor Rinaldo. „Kobiety w tym wieku leżą na cmentarzu albo w domu starców, albo też są ciężko chore. Pani Nedjelka Lombardo ma zdrowe serce, tylko mózg nie jest w porządku i odtąd już tak będzie. Tak albo jeszcze gorzej. Nie zostawiajcie jej samej ani na chwilę”, ostrzegł. „Może trzeba, żebyśmy z nią spali?”, spytała złośliwie mama, ale zaraz ugryzła się w język. „Nie, może spać sama, oczywiście przy zamkniętych drzwiach balkonowych. Nigdy nie wiadomo”, powiedział doktor Rinaldo.

Obowiązek wieczornego zamykania drzwi na balkon i zabierania klucza nałożono na mnie. Jak trudno było mi to robić, jak obłudnie czułam się ze swoją miłością wnuczki w ciągu dnia, a wieczorem, babciu Nedjelko, odbierałam ci możliwość wyjścia na balkon, skąd tak pięknie było widać dzwonnice kościoła Świętej Bogarodzicy. Co wieczór na pożegnanie całowałam cię w czoło, a ty chwytając mnie za rękę, w której ścisnęłam klucz od balkonu. „Fa-szys-ci, fa-szys-ci!”, powtarzałaś z zamkniętymi oczami, nie patrząc na mnie, a ja czułam, jak poci mi się ręka ściskająca klucz, jak tętni mi w skroniach, i nienawidziłam siebie w roli strażnika więziennego. Drzwi do twojego pokoju były

otwarte, w nocy często chodziłaś do toalety i z powrotem, a rzadko spuszczałaś wodę, co znaczyło, że albo o tym zapominasz, albo w ogóle tylko tam siedzisz i patrzysz w ciemność bez zapalania światła. Ja w mojej części pokoju, odgradzona regalem od części Margherity, rozmyślałam, jak do tego doszło, jak to się stało, że straciłam cię, babciu, jeszcze za twojego życia. Sama wiesz, że byłaś dla mnie najważniejsza. I byliśmy dosłownie nierozłączne, aż mama na ten widok wtrącała swój komentarz: „Na złość!”.

Zastanawiałam się, czy choroba babci miała jakiś związek z dziadkiem Carlem, który zmarł trzynaście lat wcześniej. „Proszę nie szukać przyczyny”, powiedział doktor Rinaldo. „Ta choroba zdarza się także młodszym”. A dziadek Carlo leży teraz sam, na miejskim cmentarzu. Zmarł w 1996, kiedy miałam osiem lat, a moja siostra pięć. Przedtem przez całe dwa lata, z niewiadomych przyczyn, był niemy. Babcia mówiła, że bardzo chciał nauczyć nas pływania, zabierał mnie i Margheritę na plażę w zatoce, gdy tylko zaczynało przygrzewać słońce, ale ja i moja siostra strasznie płakałyśmy i uciekałyśmy. Pewnego dnia mała i chuda Margherita wyrwała się dziadkowi z rąk, wpadła do wody i zaczęła się topić. Dziadek ledwie ją wyciągnął. „Depcz jej po plecach!”, wołał do mnie, pamiętam to jeszcze dziś. Mokra i zmarznięta, ze łzami w oczach, z ogromnym płaczem deptałam po trzyletniej siostrze, z której chlusnęła woda. Od tej pory dziadek już się nie odezwał. Po prostu oniemiał i nigdy więcej nie zabrał

nas na plażę, a kiedy ktoś go o coś pytał, nie mógł odpowiedzieć i tylko wydawał jakieś dziwne pomruki. W końcu mój tato i stryjkwie zaprowadzili go najpierw tu, do małego ambulatorium, gdzie był znany jako Carlo, mąż Nedjelki, Nedy z Jugosławii. Pierwsze pytanie pielęgniarki brzmiało: „Czy czegoś mu nie zrobiła mafia?”. Jedyne lekarz w ambulatorium powiedział tylko: „Czegoś się musiał przestraszyć, to minie, potrzeba tylko czasu”. Kiedy ten czas upłynął, stryjek Mario, który mieszkał w Trieście, przysłał dziadkowi bilet na statek. „W Trieście jest dobry lekarz, «Amerykanin»”, napisał stryjek, „on na pewno będzie wiedział, co robić”. Dziadek pojechał do Triestu sam, była to jego pierwsza podróż od czasu wojny, a babcia została w domu, łamiąc ręce pod kuchennym fartuchem. W Trieście jednak też nie było leku na chorobę dziadzia, więc stryjek Mario wysłał go do Rzymu, gdzie młodszy brat, stryjek Luca, chodził z dziadkiem po lekarzach, po szpitalach, ale wszyscy mówili to samo: „Wystraszył się i oniemiał, po pewnym czasie strach minie i wtedy zacznie mówić”.

Tylko jedna pielęgniarka, znajoma stryjka Luki z jego adwokackiej kancelarii, powiedziała mu na boku: „Ja nie jestem stąd, ale wiem, jak pozbyć się strachu. Bierze się siekierę, ten, kto jest w strachu, siada na progu twarzą zwróconą na dwór, a gospodarz domu zamachuje się nią, najpierw w kierunku ciała chorego, mówiąc: »Strachu, won spod dachu, nie dręcz tego człowieka dobrego!« – i tak trzy razy, po obu bokach chorego i raz w powietrzu nad jego głową. I wtedy strach ucieknie, a dziadek Carlo odzyska mowę. Tak postępuje

się w moich stronach, a jak w waszych, nie wiem, ale czemu nie spróbować, to nic nie kosztuje”. Stryjek Luca wsunął do kuferka dziadzia kartkę, na której napisał radę pielęgniarki i dodał: „PS. Mamo, może ty coś wiesz o takich sprawach, ta siostra też przyjechała z Jugosławii”.

„Słuchaj, Nedo, w Splicie nie było takiego zwyczaju, ale ja się z nim zetknęłam. Dawno temu, za młodu, czytałam książkę o zwyczajach ludowych w naszym kraju i trafiłam na podobną historię. Tak mnie to wytrąciło z równowagi, że przez całą noc nie zmrzyłam oka. W przeczytanej opowieści pewna młoda kobieta, która zamieszkała u męża, bardzo się bała jego siostry, złej baby, aż pewnego dnia mąż siekierą, na progu, wypędził z żony strach. I wtedy te kobiety stały się jak siostry, tyle że wkrótce szwagierka wyjechała, bo sama wyszła za mąż. Gdy przeczytałam radę pielęgniarki z Rzymu, powiedziałam sobie, że trzeba spróbować. Twój dziadek nie chciał jednak słyszeć o takich sposobach wypędzania strachu, tylko kręcił głową i wychodził z pokoju. Wydaje mi się, że ciągle jeszcze czuł się panem domu i to, że syn zająłby nagle jego miejsce, obok żywego ojca, oznaczałoby klęskę. Nie zgodził się zatem na ten obrzęd, choć mógł to być dla niego jedyny ratunek. Głaskałam go po głowie, a on w milczeniu odsuwał moją rękę. Nie chciał pomocy ani czułości, a nikt z nas nie odważył się poddać go na siłę obrzędowi przecinania strachu siekierą.

Umarł we śnie, dwa lata później – ty miałaś wtedy osiem lat, a Margherita pięć. Przez te dwadzieścia cztery

miesiące nie powiedział ani słowa. Wegetował w naszym łóżu małżeńskim, w fotelu na biegunach, tu pod drzewem, przy stole albo w dziennym pokoju, wpatrując się z otwartymi ustami w telewizor, jakby co i raz chciał coś powiedzieć, ale nie mógł. Przed śmiercią też nic mi nie powiedział. Nic. Odszedł niemo, zostawiając mi mnóstwo niewypowiedzianych słów”.

✂ 17 WRZEŚNIA 1996, CASTELLAMMARE DEL GOLFO

Babciu Nedjelko, dziadek Carlo po prostu nie obudził się rano, kiedy po trzydziestu latach od drugiej podróży do Splitu miałaś tam pojechać po raz trzeci. Ja w tamtym roku, pamiętam, chodziłam do drugiej klasy, a Margherita wciąż jeszcze siedziała w domu, opiekowała się nią, ty i dziadzio. Kiedy wracałam ze szkoły, robiłyśmy samolociki ze stron gazety „La Sicilia” i puszczałyśmy je po całym mieszkaniu, raz za razem zagładając w waszym pokoju do szufladki, gdzie jak drogi kamień, w pudełku wyściełanym jedwabiem, leżał bilet kupiony przez tatę i stryjków, żebyś mogła polecieć do Splitu. Potem dowiedziałam się, że postanowiłaś lecieć w 1996 roku, ponieważ w RAI powiedziano, że w byłej Jugosławii ucichła wreszcie strzelanina, w Chorwacji ci, co walczyli, nazywają się teraz „obrońcami”, a wojna, która właśnie się skończyła, jest „patriotyczna”. Podobno już po kilku sekundach wystąpił w wiadomościach wieczornych prezydent, trzymając w ręku ustawę o prawach chorwackich obrońców, a oni chyba poczuli się

dziwnie, jakby każdy zrobił coś dla siebie osobiście. Ja z Margheritą byliśmy wtedy zajęte budowaniem hangaru dla naszych samolocików. Mama bowiem zapowiedziała, że wszystkie wyrzuci na śmieci, bo płaczą jej się pod nogami nawet w łazience.

Teraz, kiedy myślę o tamtych czasach, wydaje mi się, że sytuacja w Chorwacji nie była wtedy za bardzo jasna, dla mamy i taty jeszcze mniej. Może jednak tato dokładnie wiedział, co się dzieje w twojej ojczyźnie, ale, jak kiedyś sam mi powiedział, wolał nie wiedzieć nic, żeby tobie, babciu, nie było jeszcze smutniej. Pamiętam ten twój strach podczas wojny w Jugosławii, kiedy na którymś z włoskich kanałów pokazano sceny z walk; ten strach udzielał się dziadkowi. Twarz ci się kurczyła, oczy nieruchomiały, a wargi miałaś mocno zaciśnięte, jakby sklezione. „Spójrz, babcia jest jak lalka”, szepnęła Margherita, a mnie, babciu Nedjelko, przypominałaś model anatomiczny, który widziałam w magazynie, kiedy nauczycielka wysłała mnie po kredę. Weszłam tam i krzyknęłam ze strachu: na stołach leżały modele anatomiczne i jeden szkielet. Wszystkie były przerażające, z częściami ciała wiszącymi na małych haczykach. Tylko jeden kadłub nie był taki straszny: z całym lewym policzkiem, okiem, połową nosa i połową ust. Oko było otwarte, a części obu warg przyklepione. „Nie mrugał i nie oddychał”, powiedziałam do Margherity, opowiadając, co widziałam pierwszy raz w życiu, a ona szepnęła: „Jak babcia”. I rzeczywiście, babciu Nedjelko, często tak wyglądałaś, z szeroko otwartymi oczami i zaciśniętymi wargami, przerażona wydarzeniami w twojej

ojczyźnie, zatroskana o dom w Splicie, o brata, który nigdy w życiu nie odezwał się do ciebie, nawet wtedy, gdy umarła jego żona, Serbka, i o bratanicę, która nigdy sama się do ciebie nie zwróciła. Byłaś przekonana, że w mieście na pewno jest tak samo jak podczas drugiej wojny światowej, twojej wojny, jak do nas powiedziałaś i zaraz się poprawiłaś: „Wojny waszego dziadka”.

A jednak może bardziej niż kiedykolwiek zapagnęłaś udać się do Splitu, na własne oczy zobaczyć skutki nowej wojny, odczuć osobiście nowy pokój, a my wszyscy chcieliśmy, żeby twoje pragnienie się spełniło. To wtedy tato i stryjkowie kupili ci bilet lotniczy na trasę Trapani–Triest–Split, a ja i Margherita podarowałyśmy ci nasze papierowe samolociki. I nikt nie powiedział: czego szukasz w kraju, w którym ledwo skończyła się wojna i pewnie wciąż jeszcze się tam strzela, tylko się o tym nie mówi?! Jakbyśmy chcieli wyprawić cię tam za wszelką cenę, choć nie wiadomo było, czy w ogóle stamtąd wrócisz. Lecz dziadzio Carlo nie obudził się tamtego ranka i nie pojechałaś – wtedy ani nigdy więcej. Śmierć dziadka przyjęłaś jako znak, że nie powinnaś jechać do Splitu, i wciąż powtarzałaś, że nie było ci to sądzone. Po przeniesieniu się w 1947 roku do Castellammare del Golfo byłaś tam tylko dwa razy: pierwszy raz w 1959 i ostatni w 1968. Nieraz mi mówiłaś: „Wiesz, Nedo, kiedy gdzieś już nie mieszkasz, to jesteś tam martwa. Kiedy martwy człowiek znajdzie się tam, gdzie przedtem był żywy, to jakby zjawił się duch. A wszyscy boją się duchów, prawda? I dzieci, i dorośli”. Nie bardzo zrozumiałam te twoje słowa, bo przecież po prostu mieszkasz